

Słowo wstępne

Niniejsza książka jest zbiorem analiz i interpretacji pojedynczych liryków, które wyszły spod pióra poetów ważnych dla Młodej Polski. Poprzez wybór owej formuły zapraszamy Czytelników do wnikliwego przyjrzenia się tekstowi poetyckiemu w jego wewnętrznej złożoności i bogactwie kontekstowych powiązań, wierząc, iż ogląd konkretnego dzieła poszerza jednocześnie obraz całej epoki. To przekonanie odzwierciedla się w kompozycji tomu, w którym każdy szkic poświęcony jest utworowi innego poety, by zaprezentować szersze spektrum liryczne Młodej Polski i ostatecznie stworzyć miniobraz poetyckiej mapy epoki. Dlatego też publikacja ma układ chronologiczno-tematyczny. O kolejności zamieszczania szkiców decydowała na ogół data powstania i pierwszego wydania analizowanych wierszy, choć nieznacznie odstępowano od tej zasady, na przykład w sytuacji, gdy autorzy uwypuklali w lirykach różnych poetów obecność pokrewnej problematyki.

Zapraszamy zatem na wędrowkę po poetyckiej Młodej Polsce, rozpoczynając od utworów znamionujących niezwykle silną w epoce potrzebę przeniknięcia tajników istnienia i rozwiązania zagadki, jaką jest nie tylko świat, ale i ludzkie wnętrze; będących



kreacją mistycznych przeżyć i epifanijnych doświadczeń podyktowanych przekonaniem o duchowej korespondencji człowieka z rzeczywistością transcendentną i pragnieniem odzyskania łączności z całością bytu. Kolejne analizowane liryki poświęcone są deszyfracji znaczenia przyrody (pejzażu), miłości i cielesności dla pokolenia młodopolan, opracowują odczucie sytuacji granicznej, eksplorują tematykę i poetykę baśniowości, odsłaniają próby poszukiwania prywatnych arkadii, oscylując wszakże niezmiennie wokół fundamentalnych kwestii ontologicznych. Zbiór zamyka szkic poświęcony utworowi powstałemu w pierwszych dniach I wojny światowej, której wybuch jest, według literaturoznawczej chronologii, umowną zapowiedzią finału Młodej Polski jako formacji literackiej.

Autorzy samodzielnie dokonywali wyboru analizowanych wierszy, zatem już gest selekcji stał się działaniem o charakterze aksjologicznym. Dzięki niemu wiemy, co w liryce młodopolskiej interesuje badaczy dzisiaj i co – ich zdaniem – może albo powinno wzbudzić zainteresowanie współczesnego czytelnika. Nie znaczy to bynajmniej, iż książka jest interpretacyjnym *silva rerum*. Jak zaznaczył w recenzji prof. dr hab. Tadeusz Linkner: „opracowano tutaj takie młodopolskie utwory, które oddają celnie ideologię i słowo epoki »przełomu wieków« oraz jej fascynację. [...] wielość omówień poezji Młodej Polski tworzy wzajemnie dopełniającą i uzupełniającą się, wielce barwną o tej epoce monotematyczną wypowiedź”.

Pragniemy, by książka służyła nie tylko specjalistom badającym poezję *fin de siècle'u*, krytykom i historykom literatury, lecz także studentom podczas ćwiczeń z zakresu analizy dzieła literackiego i nauczycielom polonistom jako pomoc w pracy dydaktycznej oraz oczywiście wszystkim miłośnikom literatury przełomu XIX i XX wieku. Dlatego ograniczyliśmy objętość zawartych w niej szkiców, a liczbę zaprezentowanych twórców zawężyliśmy do dwunastu dla epoki kluczowych, takich jak Kazimierz Tetmajer, Antoni



Lange, Zenon Przesmycki, Jan Kasprowicz, Tadeusz Miciński, Stanisław Korab Brzozowski, Bogusław Adamowicz, Maria Komornicka czy Bronisława Ostrowska.

Wszystkie analizowane przez badaczy wiersze Czytelnik znajdzie w *Aneksie*, zamykającym naszą „interpretacyjną antologię”.

Redaktorzy



Bogusław Adamowicz

Piąty żywioł

W orgii żądz rozpasanych i knoń zbrodniczych,
W śwście dusznych oddechów łon kipiących znojem,
W krwawych tętnach arteryj zmysłów tajemniczych
Słyszę głos, co jak burza grzmi nad sercem mojem.

Echem dzikiej potęgi grozą przejmującej,
Tajnych bytu otchłani przenikając ciemnie,
Rozlega się złowrogi i tryumfujący
W tętnach świata – pode mną – wkoło mnie – i we mnie.

Głos woła: „Ja krew jestem... Życiem świata całę
Wstrząsam... Mózg ci się zmaci, gdy mój przypływ wzbierze,
Gdy jak gromem uderzę w twoje serce szalę,
Ty, bóg myśli zuchwałej, stracisz myśl, jak zwierzę.

Próżno, człowieku, wierzysz, że twój duch pokona
Potęgę mą odwieczną, ciemną, żywiołową –
Jam większy, niżli ogień, niżli toń szalona,
Niż powietrze, co gromy zbiera nad twą głową.

Jam Ogień ziaren śmierci, Powietrze zarazy,
Jam pełen ziarna szaleństw i złych żądz nasienia,
Co wschodząc po sto razy i po tysiąc razy
Będzie rzucać na zbrodnie całe pokolenia.

W liczbie szaleństw (tych mędracy, jako gwiazd nie zliczą),
Wznienam nienawiść, zemstę, gniew kipiący pianą
I miłość, zbrodnię najmniej ze zbrodni zbrodniczą,
Lecz najbardziej złowrogą i niepokonaną.

Przedę mną wiara w strachu cofa się pierzchliwym,
Duch mroczy się, wzrok maci, głos sumienia ścicha,
I nawet twoja niczym nie zwalczona pycha
Przed moich burz namiętym spłaszczy się przypływem.



Próżno wyciągasz dłonie do słońc ideału,
I próżno chcesz mnie zwalczyć swoimi anioły,
Głęb moja cię uniesie, wrzącą falą szału,
Choć unikniesz rozbicia przez inne żywioły.

Próżno rozum twój, cnota, wola nieugięta,
Pragną ująć mię w karby... Próżno wstyd surowy,
Jak ów mocarz ocean, chce mnie zakuć w pęta,
Ja pozrywam twe mosty, strasnę swe okowy.

Żywioł mój wiecznie twymi będzie grzmieć kłeskami...
Choćbyś za niezliczone gniewny nań zniszczenia,
Chciał mnie, jak Kserkses morze, poskramiać różgami...
Naiwny władco świata! Królu wszechstworzenia!"



Stanisław Korab Brzozowski

Posępny las

Ach! jak posępnie las ten dziki!
Ponura jego głęb i ciemna,
Pełna milczenia i tajemna.
Ach! jak posępnie las ten dziki!

Drzewa wpółmartwe, chorowite
Noszą zwiędnięte liście suche;
I nieruchomo stoją głuche
Drzewa wpółmartwe, chorowite.

Mrok gęsty zaległ las ten smutny,
I nigdy promień słońca złoty
Nie wszedł przez żółte drzew uploty:
Mrok gęsty zaległ las ten smutny.

Niekiedy tylko błędny ognik
Leci nad błotne topieliska,
I wśród ciemności złudnie błyska
Niekiedy tylko błędny ognik.

Cisza, co drzemie tu grobowa,
Przytłacza piersi jak kamieniem,
I myśl zabija ci milczeniem
Cisza, co drzemie tu grobowa.

W tym ciemnym, mglistym, głuchym lesie
Pamięć zamiera, myśl, pragnienie;
Duszę ogarnia znicestwienie
W tym ciemnym, mglistym, głuchym lesie.

W ten smutny las ja lubię chodzić,
Bo dusza moja obłąkana
Śpi, marząc, ciszą tu obwiana...
W ten smutny las ja lubię chodzić.



Józef Jedlicz

Baśń okien

Na sieniej tafli okien, matowej, zamglonej,
Mróz czarodziej wyrzeźbił niewidziane cuda:
Jakichś drzew fantastycznych tęczowe korony,
W których rozkwita bujnie srebrny kwiat Ułuda...

*
* *

Cudna baśń flory, pełna szalu i potęgi,
Snadź przesiana tu z jakiejś zaświatowej łąki,
Wije się symetrycznie w sinosrebrne wstęgi,
W przedziwne arabeski, wzory i koronki.

U góry, na jedwabnych tkanin baldachimie,
Niby bladych witraży kontury naiwne,
Pełzają dziwnych krzewów łodygi olbrzymie,
Grupy palm egzotycznych przeźroczyste, sztywne.

Jakieś ledwo widzialne, nieme perspektywy
Wyłaniają się z śnieżnej, nieskończonej bieli;
Jakieś dale ogłuchłe, obumarłe niwy,
Porosłe, zda się, smętnym czarem asfodeli.

Jakaś nuda bezbrzeżna, gdzie wszystko zamiera
I stygnie w dusz znużonych przeraźliwe łkanie,
Gdy blada tajń przed wzrokiem tęsknot się otwiera
I czarem niesłychanym woła je w otchłanie...

U dołu, zamrożony w kryształowe żary,
Stoi zwichrzonych jezior odmet siwowłósy —
I śnią w swym białym bólu ciche nenufary,
Płoną modrą tęsknicą stubarwne lotosy...



A wokół przepych kwiecica: bladozłote tuje,
Śnieżne wizje irysów, chryzantemy senne —
Wszystko płacze się, kłębi, rozpręża i snuje,
Zakłęte w nikłych szronów kruszce drogocenne.

Po lśniących, sztywnych pędach, zwieszonych srebrzyście,
Przelatują atomy mieniaćego puchu;
Czasem wiew nieuchwytny poruszy ich liście —
I niknie w niemej gąszczu stojącej bez ruchu.

Cudna baśń flory, pełna szału i potęgi,
Snadź przesiana tu z jakiejś zaświatowej łąki,
Wije się symetrycznie w sinosrebrne wstęgi,
W przedziwne arabeski, wzory i koronki.

*
* *

Od pól, co w roztajałych śniegach szare mokną,
Mroczną, pustą aleją umarłych topoli,
Tajemnicze zjawisko posuwa się w okno:
Wiotka postać dziewczyny w blasków aureoli...

Posuwa się z przedziwnym na ustach uśmiechem
I ukradkiem do szyby przybliża się, staje
I wionie w przepych kwiecica gorącym oddechem —
A szron diamentowy pryska, blednie, taje...

Wnet śnieżna rzeźba kwiatu, srebrny cud pajęczy,
Rozpływa się, rozpierzcha, niknie... Złotym blaskiem
Jeszcze raz załśni szyba, mignie łuna tęczy —
I szkło cichym, bolesnym odezwie się trzaskiem.

Jasne widmo dziewczyny stojąc w oknie białem,
Patrzy z tryumfem w pianę, bladym lśniąca złotem,
I klaszcze w dłoń radośnie, i chucha z zapałem,
I coraz promienniejszym śmieje się chichotem...



Jan Kasprówicz

Przy szumie drzew

W wielkiej świątyni Przyrody, pod niebios
Jasnym sklepieniem, w zielonym
Lesie, wyrosłym na łagodnym wzgórzu,
Przy drzew poszumie zawarłem z nią śluby...

Czerwone słońce, wtargnąwszy przez gęstą
Tkaninę liści do głębin boru,
Kładło się swoim promienistym ciałem
Na świeżą trawą okrytej polanie,
Albo ukradkiem całowało kłody
Omszałych buków i klonów... Kropelki
Srebrzystej rosy, snąć jeszcze od rana,
Lśniły się w miejscach, gdzie wieczyste, widać,
Panują cienie – na pochyłych stokach
Dołków, tonących w paprociach, wśród starych
Pniów, z wilgotnego ulepionych próchna.
Spomiędzy trawy wychylały główki
Białe stokrotki i niebieskie dzwonki,
Do symbolicznych podobne kielichów,
Mieszczących na dnie tajemne słodycze
Dla dusz, co, z ziemią rozerwawszy węzeł,
Pną się ku niebu, skąd wzięły początek.
Smukłe storczyki, by jacy rycerze
Z lilipuciego królestwa, na państwo
Ziół zmienionego, wznosiły do góry
Dumne szyszaki, błękitnemi barwy
Pomalowane, a gminny biedrzeniec
Czujący swoją przewagę, w pobliskich
Skryty zaroślach, urągał ich pysze.
Obok ścieżynki, wiodącej do serca
Starego lasu, złożyły się mlecze
Kragiem szerokim, a spór z niemi wiodły
O atom miejsca jaskry i srebrniki,
Przytulające aksamitne piersi



Do ciepłej ziemi. Spośród wonnej trawy
 I mchów jedwabnych poziomka wstydliwą
 Skroń wychylała, lub dziewiczo piękna,
 Okiem brutalnych przechodniów zapewne
 Niedostrzeżona, z swych siostrzyc ostatnia,
 Widać, konwalia, a od skraju lasu
 Słały swój zapach krzaki tomentozy.

Na mchach siedliśmy, milczący oboje,
 Ona, na łono opuściwszy ręce,
 Kwiat jakiś w palcach trzymała, zrywając
 Z białej korony listek po listeczku.
 Jak szczypty pierza miękkiego, lub śniegu
 Maleńkie płatki, wionęły pod moje
 Stopy te życia złamanego szczątki.
 Powieki miała spuszczone. Od czasu
 Tylko do czasu, kiedy nad głowami
 Natrętna osa, wyrwawszy się z gniazda,
 Skrytego w ziemi, krążyć rozpoczęła,
 Brzęcząc jak echo rozbitego dzwonka,
 Podniosła w górę żrenicę, podobną
 Do niezabudki, na której pozostał
 Ślad mgły porannej, albo ślad kropelki
 Dżdżu wiosennego. Wtedy mimo Woli,
 A może z wolą wewnętrznego pędu,
 Uwięzionego gdzieś w najgłębszej toni
 Dziewiczej duszy, by korał w przepaściach
 Oceanowych, wzrok jej błyskawicznie
 Spotkał się z moim spojrzeniem i naraz
 Żywy rumieniec, jakby wstyd ją było
 Myśli tajemnej, zakwitnął na twarzy,
 Opadł znowu na piersi. I ręce
 Poczęły znowu obrywać listeczki
 Z ziół, rozrzuconych na łonie... Z wstydlivej,
 Słodkiej bezwładzy wyrывał na chwilę
 Schyloną postać nagły chrzest w konarach
 Bliskiego drzewa, na które brunatna,
 Zwinna skoczyła wiewiórka, lub szelest



Przemykającej łąsiczki, lub jaszczur,
 Gdy się po trawie u jej stóp przewinął.
 Czasem na dłoń jej upadła biedronka,
 Lub wpłynął owad zielonawo-złoty,
 Zrodzony w trawie, wychowany w słońcu.
 „Boisz się?” szepnę. Drgnęła, a jej oko
 Jeszcze się głębiej pod rzęsy schowało,
 Pod długie, gęste, pod te ciemne rzęsy,
 Pokrywające tajemnice duszy,
 Niby zasłona, co ongi, przez wieki,
 Skrywała w Sais święty obraz bóstwa.

Onieśmielony byłem jej milczeniem.
 A przecież w ślad jej spieszyłem, by oto,
 Z dala od zgiełków i od targów świata,
 Rzec jej w tej ciszy uroczego lasu,
 Że choć na życia przypadkowych drogach
 Spotkaliśmy się, jak się spotykają
 Przez wiatr odcięte z różnych pniów gałęzie,
 Mamy w swem wnętrzu coś, co już na wieki
 Złączyć nas winno. Lecz znowu, jak nieraz,
 Onieśmielony byłem jej milczeniem.
 I wątpliwości, jak rój młodych węzów,
 Które podnoszą nad krawędzie gniazda
 Swe drobne głowy, powstawały we mnie:
 Czy znam jej wnętrze i czy jest w nim kącik,
 Który na wyraz czarodziejski „kocham”
 Wyrośnie dla mnie w świątynię, jak owe
 Z ludowej baśni kościoły, co w pewnych
 Chwilach umieją zmienić się z maleńkiej,
 Prostej kaplicy w wspaniałe katedry
 O strzelających ku niebiosom wieżach,
 O dachach, złotem pokrytych, o nawach,
 Przepełnych ducha bożego!... Nie pierwszy
 Raz to pragnąłem wyrzucić z głębin
 Duszy ten kamień, co legł mi ciężarem
 Na dniu dzisiejszym i na snach Przyszłości,
 Na wymarzonych wszystkich jej nadziejach.



Nie po raz pierwszy chciałem dłoń jej schwycić
I, przycisnąwszy ją do ust, zapytać
Jej oczu jasnych i jej warg rumianych,
Czy mają dla mnie odpowiedź, mogącą
W ciemne krużganki mojego żywota
Wlać strugę światła. O, nie raz jedyny
Byłem już bliski tej chwili, by, ręce
Mając na piersiach i z grzbietem skulonym,
Jak przebaczenia i świętej pociechy
Żądliwy grzesznik, jednym tchem jej wyznać,
Jaki huragan szalał pośród drogi,
Którą dotychczas kroczyłem! Jak w oczy
Sypał mi kurzu tumany, że rychło
Żrenica moja straciła wrażliwość
Na wielki urok promieni słonecznych
I że jej było najlepiej śród nocy!
Jak owa burza, wszczęta przez złe duchy,
Które w mem własnem zamieszkały wnętrzu,
Nietoperzowe roztaczała skrzydła
I niby pyłek na bagna mnie niosła
I jak z rosnących tamże jadowitych
Cykut straszliwy-m wyciskał eliksir,
Aby nim zatruć niejedną niewinną
Duszę! Nie pierwszy był to raz, żem pragnął
Do stóp jej upaść i, podniósłszy głowę
Ku jej żrenicom, zawołać: „Ty władzę
Posiadasz w sobie, daną ci przez siły,
Zmysłom człowieka nieznane, lecz w skutkach
Błogosławionych widoczne, że możesz
Już nie wyrazem, lecz ruchem, spojrzeniem,
Jak czarodziejskiem zaklęciem, z grzesznika
Twardej powłoki, by z ciemnej jaskini,
Nowego ducha wydobyć, światłością
Wszystkich strzelistych cnót promieniącego!
To, co w nim było dawniej potępieniem,
Przez ciebie będzie zbawiającą łaską!
Betezdą jesteś” – tak nieraz myślałem
Zwrócić się ku niej – „tą ewangeliczną



Sadzawką jesteś, której święte źródło
 Trąd obmywały z nieczystych! Czem wszystkie
 Przewiny chmurnej przeszłości, gdy dzisiaj
 Zabłyśnie nad nią siedmiobarwna tęcza,
 Uwita z błysków twojej czystej duszy!"
 To znów, gdym spojrzał w jej błękitne oczy,
 Do lustrzanego jeziora podobne,
 W którym odbija się głębia i ogrom
 Niezmierzonego widnokregu niebios,
 Kiedy przede mną lekki wietrzyk rozwiął
 Jej włos jedwabny, igrający w słońcu
 Połyskiem złota; gdym patrzył na kibić,
 Smukłą, jak młoda brzezina; gdy wzrok mój
 Spoczął na szyi łabędziej, białością
 Odurzającej, lub na krągłych piersiach,
 Kształt swój znaczący[ch] dwiema światła plamy
 Na ciemnej sukni; gdym spojrzał na drobną
 Stopę, przypadkiem lekko wysuniętą:
 Krew we mnie wrzała! Sardanapalowej
 Uczty płomienne migały obrazy!
 Jak gibką gałąź giąć ją w swych uściskach!
 Pokryć jej postać tysiącem całunków,
 Ażby jej krwawe wystąpiły smugi,
 Ażby omdlała w pieszczotach! Zapachem
 Świeżego ciała wabion z legowiska,
 Jak noc ciemnego, dziki zwierz się skradał,
 Aby się rzucić na słabszą ofiarę,
 Szczękającymi od chciwości kłami
 Przegryźć jej gardło, wypić płyn gorący
 Z tych żył sinawych, co zdradliwą siatką
 Pokryły skórę, alabastrem lśniąca,
 Potem, pijany rozkoszą, zatoczyć
 Kręgi śmiertelne i zginąć na zawsze
 Gdzieś w niewidzialnej przepaści...

Lecz rychło!

Wstyd jakiś straszny pożerał me lice,
 Czerwieniąc nawet powieki. Pochylon
 Stawałem przy niej, jak ów pies obity,



A wierny panu swojemu! Nie mogłem
 Opędzić myśli, która, jak złowieszczy
 Ptak, mego serca dotykała skrzydłem
 Piekielnie czarnem, szeleszcząc, że ona
 Łagodnym wzrokiem wniknęła w najskrytszą
 Toń mego wnętrza, spostrzegła w niem – zbrodnię
 I za tę zbrodnię czuje bezgraniczną,
 Bezdenną litość!... I już nie marzyłem,
 Aby jej ręką zapukać do wrótni
 Utraconego Edenu, lecz, chłodnym
 Przejęty dreszczem, pragnący „po życiu,
 Przepychem błędów i męczarni wypocząć
 W zimnej mogile”, chciałem jej wyrazić
 Owo życzenie pieśniarza, ażeby
 Nie jak kochanka, oddana mi ongi
 Ciałem i duszą, lecz „jak gołębica,
 Jak wielki anioł miłosierdzia, przyszła
 Na grób, usypan z cią[ę]żkiej, twardej ziemi,
 I kilka świeżych rzuciła nań kwiatów”.

Na mchach milczący siedzieliśmy razem...
 Od brzegów lasu, przez wyrąb szeroki,
 Od pól rozległych, falujących świeżo
 Wykłoszonemi zbożami, skąpanych
 W aromatycznej kąpieli rzepików,
 Osianych puchem złocistym, przypląnął
 Wiatr zleniwiwały ku naszej polanie.
 I naprzód cicho ruszyły się trawy;
 Storczyki, wnet się zbudziwszy z zadumy,
 Chwiały hełmami; gięła się konwalia
 I liść poziomki mchy rozpoczął głaskać;
 Biedrzeniec skronie ocierał o twarde
 Gałęzie dzikiej krzewiny; paprocie
 Strząsnęły resztki brylantowej rosy;
 Jaskier swe lica odwracał od słońca,
 Giął je do kolan, to je znów podnosił,
 Jak zadąsany, nawet mlecz i srebrnik
 I gwiazdkowata stokroć, choć się zdają



Niby przypięte z łodyżką i liściem
 I razem z kwieciem do ziemi, zadrgnęły,
 I krzaki głógów, wyrosłe na miedzy,
 Która oddziela bór od pełnej niwy,
 Jęły tu owdzie rozrzucać przestałe,
 Bładoróżowe płatki z swej korony.
 Powoli wiew się przedarł ku wierzchołkom
 I jedno drzewo zaczęło drugiemu
 Podawać dziwne akordy prastarej,
 Utraconego Raju tajemniczym echem
 Będącej pieśni, ze słów ułożonej,
 Co pozostały z języka praświata,
 Ludziom dzisiejszym nieuchwytne dźwięki,
 Lecz zrozumiałe dla duszy poety...
 Szum wszczął się w klonie, w którego okolu
 Spoczywaliśmy: zaszeleścił starzec
 I urwał naraz, jak gdyby w fałszywą
 Uderzył strunę, potem znów potracił
 W lutnię runiczną i głosem stłumionym
 Jął wyśpiewywać przedwieczne rapsody...
 Ton pochwyliła lipa, naśladując
 Pomruki górskich potoków, a za nią
 W trop pospieszyli inni towarzysze,
 Od wieków jednym ogrzewani światłem
 I jedne burze znoszący: jawory,
 Buki i graby, a nawet gromada
 Zbłąkanych świerków, które oblepiły
 Pasożytnicze, niby pleśń, jestestwa.
 Patrząc na klony i na graby stare,
 Na rozłożyste jawory i buki,
 Na lipę wonną i na świerki siwe,
 Mógłś z początku odróżnić dokładnie,
 Które z nich szumią, a które szeleszczą,
 Które z nich szemrzą, lub szepcą, lub mruczą.
 Ze zamkniętymi wsłuchany oczyma
 W te różnorodne akordy, sądziłbyś,
 Że gdzieś tam w sferach, do których w niezwykłych
 Snach ulatuje uwięziony w glinie



Ziemskiego bytu, lecz na chwilę z więzów
 Wyswobodzony duch ludzki, narzędzia
 Stroją muzyczne jacyś mistrze tonów,
 Śród gwiazd zrodzeni, i że na ten padół
 Przypełzły echa ich dźwięków. Niebawem
 Ten szum i szelest, szmer i szept i pomruk
 Złał się w harmonii przepętną melodię,
 Głucho płynącą nad naszymi głowy,
 Jakby tam w górze daleko, daleko,
 Olbrzymie morze toczyło powoli
 Ciężkie swe fale...

Milczący oboje

Spoczywaliśmy pośród mchów... Las szumiał,
 A szumy jego wnikały powoli
 W wszystkie me żyły. Krwi mej każdy atom
 Zdawał się zmieniać w milionową cząstkę
 Jakiejś symfonii i zlewać się razem
 Z szumem, z szelestem, z pomrukiem i szeptem
 Drzew, konarami chwiejących nade mną.
 I tajemnicze przejęły mię dreszcze...
 I wnet uczułem, że szumiące drzewa
 Nie nad mą głową tak szumią, lecz we mnie.
 I zdało mi się, że powoli tracę,
 Jedną za drugą, cechy człowieczeństwa...
 Chciałem się bronić... napróżno! Od władz tych,
 Które się gnieźdzą w mózgu – nie! w ramionach,
 We wyprężonych do oporu piersiach,
 Była silniejszą potęgą, idąca
 Z onych wierzchołków i całą mą postać
 Ogarniająca swą dziwną muzyką,
 Słodką, a straszną... Doznałem wrażenia,
 Żem się przedzierzgnął w jeden z tych jaworów,
 Buków czy klonów lub świerków, a potem,
 Że ci liśćmi naodziani boru
 Tego mieszkańce zrosili się w olbrzymie
 Jakieś pradrzewo, rozparli tę nikłą
 Uwięź cielesną, która już nie gniotła,



I mą prawdziwą stali się istotą.
 Nie umiem dzisiaj powiedzieć, jak długo
 Trwał stan niezwykle – być może sekunde
 Według obliczeń chłodnego rozumu:
 Mnie się zdawało, że bezmiar wieczności
 Wypełniam swymi konary... Powoli
 Ludzkiego bytu wracała świadomość;
 Powoli-m zaczął uczuwać ten ciężar
 Znikomej gliny, z której ulepiono
 Ten grzbiet, te stopy, te nasze ramiona...
 Powoli-m zaczął ludzkiemi oczyma
 Rozróżniać klony i buki i świerki,
 Lecz duch, wykapany przed chwilą w przedwiecznych
 Fałach, nie umiał otrząsnąć od razu
 Wszystkich kropelek, co na jego skrzydłach
 Zostały z owej kąpieli, tajemnie
 Lśniąc się blaskami nieznanych dziś pereł...
 W jakiś się dziwny jęły amalgamat
 Zlewać dwa stany: dawna, dawna przeszłość
 I teraźniejszość... Obrazy przede mną,
 Bytem, odzianym ciężką, ludzką gliną,
 Zaczęły wstawać z niedzisiejszej doby,
 A jednak w żywym do niej podobieństwie,
 Jakby nie było między tem, co przeszło,
 A tem, co dziś jest, najmniejszej różnicy.
 Zdawało mi się, że ja to przed wieki
 Z liści bukowych uplotłem odzienie,
 Ażeby nakryć swą nagość występłą,
 I że mnie wygnał płomienistym mieczem
 Boży archanioł za bramy Ogrodu,
 I że w tym szumie ściga mnie wspomnienie
 Pobytu w raju... I wszystkie męczarnie,
 I wszystkie trudy, jakie przeżył Adam,
 Syn ziemi, walcząc z dzikimi potwory,
 Które mu twardą tamowały drogę,
 Gdy ku wschodowi podążał, ku słońcu,
 Dawcy światłości, ciepła i owoców –
 Wszystkie te jego ciężary mnie gniotły...



Oślizłe węże, co z sykiem owijać
 Nie przestawały swem cielskiem mych kolan
 I moich piersi i szyi wygiętej,
 Wilgnemi żądły aż do warg sięgając,
 Zdzierałem ręką, drżącą od zmęczenia.
 I na mej dłoni uczułem pęcherze
 Od wrywania chwastów i korzeni
 I od łamania konarów, by sobie
 Przez niedostępną gęstwinię, okrytą
 Czarnymi zmroki, utorować wyjście
 Na łąn świetlany. I ze skroni bladej
 Jąłem ocierać zimny pot, co spływał
 Hojnym strumieniem, kiedym ja, pracźlowiek,
 Adam, syn ziemi, rozbijał rydlicą
 Grudy kamienne, albo orał pługiem
 Twarde opoki, aby z nich wydobyć
 Czarny kęs chleba...

I potem mi było,
 Jakbym Kaina piętno miał na czole,
 Bo bez spokoju dązę i spoczynku,
 Sam nie wiem, dokąd – może, aby zabić
 Wspomnienie zbrodni, której nie spełniłem,
 A którą przecież – tak mi się zdawało –
 Umiałbym spełnić, czy też, aby znaleźć
 Nieznane szczęście w ziemi Nod, na wschodzie
 Od wrót edeńskich... I jąłem wyrzucać
 Złowrogim losom, że mi snąć zabrały
 Prawo do niego – do owego szczęścia,
 Które powinno być udziałem człowieka,
 Jeżeli może być udziałem kwiatu –
 Tego biedrzeńca, co z zarośli szydzi
 Z mojego losu, tych niebieskich dzwonek,ów,
 Na dnie kielicha swojego kryjących
 Miód dla – owadu, i tych mleczków złotych
 I tych nieznaczących srebrników,
 I tych stokrótek i tej róży dzikiej,
 Co mnie odurza swą wonią...



Las szumiął,
 A ponad jego wierzchołkami słońce,
 Dosięgłszy swego zenitu, rozlało
 Nagle złocistych blasków wielkie morze,
 Dźwięczące razem ze szumiącym lasem.
 Rozgrana jasność, spływając z jaworów,
 Buków i klonów, owionęła duszę
 Ciepłem promiennej melodii, rozkosznej,
 Pobudzającej do jakiegoś życia,
 Pełnego żaru i wielkiej radości.
 Uczułem naraz, że te krwawe bole,
 Co przed minutą gryzły tak straszliwie
 Me grzeszne wnętrze, stały się już mitem,
 I że nie byłem wygnańcem z Edenu,
 Ale dopiero w tej chwili, oczyszczon
 Z wszystkich przewinień burzliwej przeszłości
 Jakąś nieznaną mi siłą, a jednak
 Jak gdyby znaną od dawna, stanąłem
 U bramy Raju, który żył dotychczas
 Jedynie w moich snach i pożądaniach.
 Doznałem naraz uczucia, jak człowiek,
 Gdy się pobożnie zbliża do ołtarza,
 Na którym Pański mieści się sakrament,
 Skryty w misternym tabernaklu. Wokół
 Jakiejś świętości drżała atmosfera.
 I ducha mego pochwyciła naraz
 Wielka tęsknota, ażeby na barkach,
 Jak legendowy Oferus, świat jakiś
 Przenieść przez morze nieznanych przestrzeni.
 I tak, jak człowiek nagle przebudzony,
 Ku niej, siedzącej na mchów aksamitnych
 Miękkiej pościeli, zwróciłem swe oczy:
 Ucieleśnieniem wieszczego natchnienia
 Wydała mi się, wsłuchana w ten poszum
 Starego boru. Naokoło głowy,
 Wzniesionej w górę, lekki wiew przewiewał,
 Igrając włosiem, rozwianym by sypkie
 Włókna drogiego jedwabiu, błyszczącym



W promieniach słońca połyskami złota
Rozpylonego. W wilgotnym błękiecie
Rozwartych źrenic, a wlepionych we mnie,
Jak oczy łani, lśnił łagodny ogień
Elektrycznego światłością płomienia,
Uwięzionego gdzieś na dnie głębokiej,
Niebieskiej, czystej, jako kryształ, wody.
Twarz jej oblewał rumieniec, a usta
Nawpół otwarte, oprawione w koral,
Drżały, by lekko wywinięte płatki
W koronie róży czerwonej. Zaiste!
W takiej postaci zjawiał mi się nieraz
W snach moich anioł przebaczeń, zawstydzon,
Że jemu przyszło spełniać miłosierdzie
Nad grzeszną duszą, którą on ukochał,
Jak równą sobie... We mgle moich marzeń
Taką stawała przede mną jutrzniara
Miłość, co, chociaż krew zapala w żyłach
I ciało nęci niezwykłą rozkoszą,
Przecież na takie prowadzi wyżyny,
Gdzie duch nasz z wszystkich otrząsa się strzępów,
Z których mu ziemia szyje brudną suknię,
I, jak pokryty wiecznymi śniegami
Wierzchołek góry olbrzymiej, w swej białej,
W swej nieśmiertelnej świeci się nagości,
Czysty, a piękny!... Rytmicznie wzrastało
I opadało jej łono; snąc w serca
Świętym przybytku brzmiał organ uczucia,
Nastrojon szumem i szelestem lasu
W jakiś hymn wielki, rozeprzeć pragnący
Nawę kościoła... Z głębokiem spojrzeniem,
Pełen wylania i jakiejś słodczy
Niewysłowionej i jakiegoś ognia,
Zwrócona ku mnie, chciała coś przemówić,
Lecz zanim słowo zdołało wypłynąć
Przez wargi świeże, wpół ją pochwyciwszy –
Nagle, jak człowiek, porwany zachwytem,
I przycisnąwszy do piersi, złożyłem



Na tych rozkwitłych, na płonących wargach
 Pierwszy całunek – ten symbol wiecznego
 Dwóch dusz złączenia i dwóch ciał, o losach
 Rozstrzygający człowieczych, potężny,
 Utraconego przed wiekami Raju
 Słoneczne bramy wskroś otwierający
 Symbol...

Kłęczałem u jej stóp, na białych
 Płatkach, wyrwanych z wiosennej korony
 Jakiegoś kwiatu wiotkiego... Jej ręce,
 Jak bluszcz, oplotły drżące moją szyję,
 Usta szeptały rozgrzeszeń wyrazy,
 A z jej otwartych, jasnych ocz spłynęły
 Dwie duże krople, by perły, na lica
 Zarumienione...

Powoli, powoli
 Rozkołysany las się uspokajał:
 Powoli milkła jego pieśń przedwieczna,
 Niezrozumiała dla ludzi dzisiejszych,
 Ale uchwytna dla duszy poety.
 Przebrzmiał już akord ostatni... Wstaliśmy
 I wśród storczyków i dzwonków i mleczów,
 Pośród stokrotek, jaskrów i srebrników
 Obok róż dzikich, od których szczęśliwszym
 Uczuł się duch mój, dotychczas nękany,
 Oferusową dziś przejęty żądzą,
 Powracaliśmy, weseli, złączeni,
 Błogosławiący tej symfonii boru.



Maria Komornicka

Odnalezienie

Szukałem Cię, Perło mego Bytu,
Szukałem pośród gwiazd,
Lecz cię nie było u zenitu.

Szukałem Ciebie w zgiełku miast –
Śmiała się do mnie roziskrzona
Stolica odrodzona –
Lecz cię nie było w zgiełku miast,
Lecz cię nie było w wirach gwiazd –
Lecz cię nie było u Zenitu.

I zwątpił, opadł we mnie duch –
Błąkałem się tułaczy –
Aż mnie ten poniewolny ruch
Zagnał, gdzie schron rozpaczy.
Zstąpiłem w Bezdni głucho łożo –

I tam znalazłem cię, zgubioną
Perłę mojego Bytu.

Jak – z gwiazd orszaku, jak – z Zenitu
Zstąpiłaś w otchłani ciemną,
W rozległą, niemą pierś granitu –

I jak ukryłaś to przede mną!...
Gdym szukał Ciebie w wirze gwiazd –
W wichurze mórz i w blasku miast – – –

A tyś na dnie odpoczywała Bytu!...



Antoni Lange***** [Obok naszego życia płynie inne życie...]**

Obok naszego życia płynie inne życie –
Jak gdyby drugie życie – życie mniej codzienne –
Pełniejsze, doskonalsze – w blasku i rozkwicie,
Jak gdyby nasze własne, a przecież odmienne.

Nie, ono nie jest cieniem naszego żywota –
Raczej nasz żywot zwykły jest tamtego cieniem:
Bo tam na zawsze, w nas jeno chwilami migota
Prawda jakimś nadziemskim święta objawieniem.

Ten żywot niewidzialny jest nam tajemniczy,
Bo to logika czynów naszych i sumienie –
I jest w nim nieomylny losów budowniczy,
Który ładem kamienie składa na kamienie.

A w nas tkwi niby mgliste sfery tej przeczucie
I wiemy, że co tutaj kują nasze młoty,
To tylko odbłask czynu, który w boskim rzucie
Tam rozwija się czysto w pełni swej istoty.

I czujemy zaiste, że niedoskonałym
Jest każde nasze dzieło – lecz choć bywa liche –
Jego treść trzeba jednak mierzyć ideałem,
Który tam poza nami tworzy górna Psyche.

Jak harmonia drga życia tego uroczystość,
W całkowitości blaski odziana promienne.
W nas cień tego, czym winna być nam rzeczywistość,
Tam – życie rzeczywiste i prawdą solenne.

Nasz żywot pospolity jest tylko schematem
Tego życia wyższego, które się rozwija
Gdzieś w głębiach naszej duszy, gdzieści poza światem
Widomym, jako biała mistyczna lilija.



Tadeusz Miciński

*** [**Bądź zdrowa!...**]

Bądź zdrowa! [jak dziwnie brzmi dzwon!]

Bądź zdrowa! [lecą liście z drzewa...]

Bądź zdrowa! [miłość jest jak zgon...]

Bądź zdrowa! [wiatr złowrogi śpiewa...]

– *Już nigdy!* –

Rwie serce Twój płacz!

– *Wydarł się z piersi niespodzianie,*

– *żegnam Cię – trzeba – i Ty Boże racz –*

– *litości!...* – –

W konie!... Chryste Panie.



Bronisława Ostrowska

Ajaccio

Uwieńczona gajami kwietnych pomarańczy,
Ujęta w gór śnieżystych zazdrosne koliska,
Modrooka zatoka śni jak odaliska,
Pod słońcem, co na falach dżdżem Danai tańczy.

Wesoły zefir lekko białe żagle niańczy;
Cicha woda jak turkus umarły połyska;
Od górskich hal niekiedy spiekłe wrzosowiska
Dyszą nagłym powiewem woni opętańczy.

Wzdymaj się, lotny żaglu! Spiesz ku brzegom, łodzi!
Widzisz te domy białe wśród kwiecia powodzi,
Przyczajone jak stado gołębi na łanie?

Tu mieszka szczęście. Cicho! Wciąż sennie i słodziej
Płyniesz w czar miłowania... Zali wzrok cię zwodzi?
To kaplice umarłych. – Wieczne spoczywanie. –



Zenon Przesmycki (Miriam)

Tajń

Franciszkowi Siedleckiemu

Jak w półzatartym starym palimpseście,
Gdzie warstwy pisma krzyżują się, płaczą,
W człowieczym wzroku, słowie, myśli, geście
Tajń skryta wiecznie pod widną opończą.

I głoski zwierchnie oko czyta rąco,
Ale gdy w głębsze sięgać pocnie treścię,
Wnet: „nie masz drogi!” błysnie mu gorgończo,
Jak w półzatartym starym palimpseście.

W ust nawet starca spowiednym szeleście,
W dziecku, co duszę wyśpiewa skowrończo,
Zawsze kres błędny spotkać musisz wreście,
Gdzie warstwy pisma krzyżują się, płaczą.

I wmawiasz w siebie, że światy się kończą
Tam, gdzie twa wiedza, że – nędzny proteście! –
Nic więcej nie masz nad żądz sforę gończą,
W człowieczym wzroku, słowie, myśli, geście.

I dumnie stąpasz, niby w znanem mieście,
Licząc, jak drogi, zaufki się łączą.
Wtem w błysków nagłych lśni ci manifeście
Tajń skryta wiecznie pod widną opończą.

O duchu! Skąd się źródłiska twe sączą?
Światłości, rytmie, istoto – o, gdzieście?
Snadź gdzieś bezmierne się tęcze kabłączą,
A nam skry jałmużn jeno brać po kweście,
Jak w półzatartym starym palimpseście!...



Edward Słóński

Ta, co nie zginęła

1.

Rozdzielił nas, mój bracie,
zły los i trzyma straż –
w dwóch wrogich sobie szańcach
patrzemy śmierci w twarz.

W okopach pełnych jęku,
wysłuchani w armat huk,
stoimy na wprost siebie –
ja wróg twój, ty mój wróg.

Las płacze, ziemia płacze,
świat cały w ogniu drży...
W dwóch wrogich sobie szańcach
Stoimy – ja i ty.

2.

Zaledwie wczesnym rankiem
armaty zaczną grać,
ty świstem kul morderczym
o sobie dajesz znać.

Na nasze niskie szańce
szrapnelów rzucasz grad
i wołasz mnie, i mówisz:
– To ja, twój brat... twój brat!

Las płacze, ziemia płacze,
w pożarach stoi świat,
a ty wciąż mówisz do mnie:
– To ja, twój brat... twój brat!



3.

O, nie myśl o mnie, bracie,
w śmiertelny idąc bój,
i w ogniu moich strzałów,
jak rycerz, mężnie stój.

A gdy mnie z dala ujrzysz,
od razu bierz na cel
i do polskiego serca
niemiecką kulą strzel.

Bo wciąż na jawie widzę
i co noc mi się śni,
że TA, CO NIE ZGINEŁA,
wyrośnie z naszej krwi.



Kazimierz Przerwa-Tetmajer

*** *[I miałem chwilę, że świat przed oczami...]*

I miałem chwilę, że świat przed oczami
zasłonił mi się niebieskimi mgłami
i świetłał cały, jak o słońca wschodzie
świecącą fale niebieskie na wodzie.

I miałem chwilę takiego zaszczytu,
jakbym już nie był więcej częścią bytu,
ale tak w przestrzeń pustą, nieskończoną
tonął, jak mewy w widnokręgu toną...

I tylko w dali ledwo widniejące
drzewa się w dole złożyły na łące
i jakby domy białe, pełne słońca,
a wkoło przestrzeń i błękit bez końca...

I nic nie czułem, co człowiek czuć może,
zdało się, szaty Twej dotykam, Boże,
i złudnie ludzkiej odjęty pamięci,
przez chwilę byłem, jak są wniebowzięci...



Anna Zahorska

*** [*Czystszy nad śniegu białość...*]

Czystszy nad śniegu białość,
nad źródła nurt tak czysty,
nad pereł doskonałość
całunek twój ognisty.
W liliowej swej słodyczy
cud nad cudami ziszcza,
jak płomień ofiarniczy,
co spala i oczyszcza.

*** [*W rozkoszy jasnym mgnieniu...*]

W rozkoszy jasnym mgnieniu
przy tobie zapominam
o starym mym cierpieniu –
nie szydę, nie przeklinam –
i tylko kornie, długo
komunię z ust twych biorę,
a szczęście złotą strugą
w me serce wpływa chore.
Zakwita darń mogilna
gromnice żółte gasną...
Twym ustom – zdrowa, silna –
dziękuję cicho, jasno...

